



Mirosław Derecki

OSTATNIA PODRÓŻ PREZYDENTA MOŚCICKIEGO

Późnym popołudniem jednego z ostatnich dni grudniowych 1939 r. na małą rumuńską stację, kolejową Balie Herculane, niedaleko granicy jugosłowiańskiej, wtoczył się buchający kłębami pary pociąg międzynarodowy z Bukaresztu przez Craiovą do Belgradu. Baile Herculane, znana jeszcze w czasach rzymskich miejscowość kuracyjna, leży w głębi górskiej doliny na zachodnim kraju Karpat Południowych, nad rzeką Cerna, a znajdujące się tutaj gorące źródła siarkowe ściągają od setek lat ludzi cierpiących na schorzenia dróg oddechowych, systemu nerwowego, skórne...

Owego grudniowego popołudnia 1939 roku na stacji Baile Herculane panowała zupełnie inna atmosfera niż zazwyczaj. Nie było tłumu kuracjuszy, bagażowych, a na dworcowym podjeździe nie czekały powozy i samochody mające odwieźć nowo przybyłych gości do odległego o sześć kilometrów uzdrowiska. Na zaśnieżonym pustym peronie stała grupa kilkunastu zziębniętych, niemłodych mężczyzn, w pobliżu widniały sylwetki rumuńskich żandarmów trzymających u nogi karabiny z osadzonymi na nich bagnetami.

Pociąg zatrzymał się. Uchyliło się okno wagonu pierwszej klasy, wyjrzał z niego szczupły, siwowłosy mężczyzna, ubrany w ciemne futro. Jeden ze stojących na peronie, niewysoki, z sumiastymi wąsami, o postawie znamionującej wieloletniego wojskowego, podbiegł szybko do okna wołając: „Witamy, panie prezydencie!“. Stary, schorowany człowiek uśmiechnął się blado i odparł: „Dzień dobry, panie premierze...“.

Oczywiście, były to tylko ciche formułki pozdrowieniowe, nie mające od kilku miesięcy ładnego pokrycia. Od trzydziestego września Ignacy Mościcki nie był już prezydentem Rzeczypospolitej, a Felicjan Sławoj-Składkowski - premierem polskiego rządu. Dawni członkowie rządu byli internowani przez władze rumuńskie w Balie Herculane, dawny prezydent Rzeczypospolitej wyjeżdżał oto właśnie z Rumunii do Szwajcarii, która ofiarowała mu gościnę. Rozpoczynał ostatni etap swej ostatniej, wielkiej podróży. Podróży pełnej ważkich faktów historycznych, naznaczonej refleksami tragedii narodu, na którego czele stał od lat bez mała czternastu. Tragedii tysięcy jednostek ludzkich - tych, którzy kraj opuścili, i tych, którzy w nim pozostali. Podróży, która rozpoczęła się w Warszawie 1 września 1939 r.

Pociąg stał na stacji Balie Herculane tylko pięć minut. Tylko tyle, aby wystarczyło na słowa powitania, i zaraz: pożegnanie z kilkunastoma ludźmi, którzy do niedawna jeszcze rządili ponad trzydziestomilionowym, sporym i - jak się wydawało - silnym krajem, położonym w centrum Europy.

Pociąg ruszył. Spowity w kłęby pary potoczył się w schodzący w dolinę zmrok, ku przełęczy Porta Orientale, w stronę swojego przeznaczenia.

W siedem lat później, 2 października 1946 r. Ignacy Mościcki umarł w swoim domku w podgenewskiej wiosce Versoix.

1 września 1939 r., po napaści Niemiec na Polskę, prezydent Ignacy Mościcki wystosował odezwę do narodu. Została ona rozplakatowana, podało jej treść radio i wszystkie gazety. W prasie lubelskiej odezwa ukazała się w sobotnim wydaniu, 2 września:

Obywatela Rzeczypospolitej! Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął działania zaczepne wobec Państwa Polskiego, co stwierdzam wobec Boga i historii. W tej chwili dziejowej zwracam się do wszystkich obywateli Państwa w głębokim przeświadczeniu, że cały naród w obronie swojej wolności, niepodległości i honoru skupi się dokoła Wodza Naczelnego i SB Zbrojnych, oraz da godziwą odpowiedź napastnikowi, jak się to już nieraz działo w historii stosunków polsko-niemieckich. Cały naród Polski, pobłogosławiony przez Boga, w walce o swoją świętą i słuszną sprawę, zjednoczony z Armią pójdzie ramię przy ramieniu do boju i pełnego zwycięstwa.

(-) Ignacy Mościcki

Prezydent Rzeczypospolitej

Warszawa, dnia 1 września 1939 roku.

Równocześnie prezydent wydał dwa doniosłe w treści zarządzenia: mianował Marszałka Polski, Edwarda Rydza-Śmigłego - dotychczasowego Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych - Naczelnym Wodzem, po drugie: w oparciu o art. 24 ust 1 ustawy konstytucyjnej wyznaczył Śmigłego-Rydza swoim następcą na fotelu prezydenckim „na wypadek opróżnienia się urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej przed zawarciem pokoju”. W ten sposób w wypadku śmierci Ignacego Mościckiego lub jego oficjalnego zrzeczenia się dotąd piastowanego stanowiska Rydz-Śmigły automatycznie stawał się prezydentem Rzeczypospolitej. Nawiasem mówiąc, kadencja prezydencka Mościckiego - druga już zresztą z kolei - wygasła w połowie 1940 r.

Prezydent w grudniu 1939 r. miał skończyć siedemdziesiąt dwa lata; od kilku miesięcy jego organizm był wyczerpany chorobą, która o mało nie skończyła się ciężką operacją. Jest rzeczą właściwie zupełnie nieznaną, że w marcu 1939 r. Ignacy Mościcki doznał skrętu jelit i

przez kilka dni był bliski śmierci. Fakt choroby głowy państwa ukrywano ściśle przed społeczeństwem, co było zresztą tym bardziej zrozumiałe w pełnym napięciu okresie miesięcy poprzedzających wybuch wojny. Zupełnie zaś nie mogła tego rodzaju wieść dojść za granicę, bo to by mogło grozić następstwami politycznymi, która trudno nawet sobie wyobrazić. Nawet przed premierem rządu Rzeczypospolitej, Sławojem-Składkowskim, przez kilka pierwszych dni ukrywano chorobę prezydenta. Dopiero, kiedy jego stan okazał się bardzo groźny, poproszono Składkowskiego na zamek, na półoficjalną naradę z udziałem znanego krakowskiego chirurga, docenta Glatzla. Stan fizyczny chorego rokował słabe nadzieje na przeżycie operacji i zdecydowano się na jej przeprowadzenie w atmosferze wręcz dramatycznej. Na szczęście, w ciągu nocy poprzedzającej zabieg, docentowi Glatzlowi udało się, poprzez odpowiednio ułożenie chorego, usunąć skręt jelit. Operacja okazała się niepotrzebna, ale minęło kilka tygodni, zanim prezydent mógł powrócić do swoich zajęć. Nie oznaczało to, oczywiście, że był już w pełni sił.

W poniedziałek 23 sierpnia 1939 r. w południe zebrali się na Zamku na specjalnej naradzie Ignacy Mościcki, Edward Rydz-Śmigły, Józef Beck i Felicjan Sławoj-Składkowski. Było to ostatnio spotkanie tych czterech ludzi w zażywiającej jeszcze dobrodziejstwa pokoju, Polsce. W niespełna cztery doby później - wybuchła wojna.

Pierwsze dni wojny spędził prezydent Rzeczypospolitej w podwarszawskiej miejscowości Błota, niedaleko Wilanowa, w willi swojego znajomego. Potem, gdy zapadła decyzja o przeniesieniu się rządu i ministerstw - jak to już przed wojną planowano - w głąb kraju, także siedziba prezydenta musiała zostać przeniesiona w ustalone uprzednio miejsce. Rząd udał się 5 września do Lublina (nie są do tej pory udokumentowane twierdzenia, jakoby 3 września Ignacy Mościcki podpisał specjalny dekret mianujący Lublin tymczasową stolicą Polski), a następnie, na skutek szybko przemierzających się działań wojennych, 9 września rano rząd wyjechał na Wołyń, do Łucka. Nie zdążyły się rozmieścić w Nałęczowie i Kazimierzu - jak przewidywały plany - biura Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz korpus dyplomatyczny. Pod bombami ewakuowano się pociągami i samochodami częściowo do Brześcia, głównie zaś - do Łucka i Krzemieńca. Prezydent Mościcki ustanowił na kilka dni swoją siedzibę w położonej między Łuckiem a Równem, nie rzucającej się niemieckim lotnikom w oczy, Ołyce, w zamku księcia Janusza Radziwiłła. Przedtem jednak spędził kilka dni w Krasnobrodzie, w majątku Podzamek znajdującym się w posiadaniu senatora Kazimierza Fudakowskiego.

O pobycie Ignacego Mościckiego w Krasnobrodzie wiedziano dotąd bardzo niewiele. Pierwszą, obszerniejszą wiadomość na ten temat podał prof. dr Zygmunt Mańkowski, m. in. w książce „Między Wisłą a Bugiem 1939-1944” (Lublin 1978).

W zbiorach dr. Zygmunta Klukowskiego, przekazanych przez tego znanego lekarza, społecznika i historyka Bibliotece Uniwersyteckiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, w jednej z kartonowych teczek znajduje się rękopis oznaczony numerem 826. Pięć stron ciasnego maszynopisu zatytułowanego „Wspomnienia wojenne z Krasnobrodu”. Autorem jest były właściciel majątku Podzamek, Kazimierz Fudakowski. Spisał tę relację w niedługi czas po zakończeniu wojny, na prośbę Zygmunta Klukowskiego, doceniającego ogromną rolę wspomnień i przekazów związanych z faktami historycznymi.

Ten nigdy dotąd nie publikowany rękopis zawiera bogaty materiał dotyczący pierwszego etapu podróży prezydenta Ignacego Mościckiego przez objęty pożogą wojenną kraj. Barwna, pełna dynamiki i dramatyzmu relacja daje więcej niż same tylko fakty: oddaje ona w sposób niezwykle plastyczny atmosferę tamtych pierwszych dni na odległej polskiej prowincji. A także... ukazuje bałagan i brak konsekwencji w działaniach ówczesnych władz i urzędów, nie tylko podczas wojny, ale również, niestety, już długi czas przed jej wybuchem.

Trzeba w tym miejscu podkreślić, że Kazimierz Fudakowski nie pozostawał w opozycji do przedwojennych polskich rządów. Przeciwnie - był wyraźnie wpisany w krąg ówczesnego establishmentu. Musiał być człowiekiem zaufanym; inaczej przecież nie wybrano by jego domu na siedzibę wojenną prezydenta Rzeczypospolitej. Zbliżający się do sześćdziesiątki, majątny i światły ziemianin piastował godność senatora. Absolwent Szkoły Nauk Politycznych w Paryżu i uniwersytetu w Monachium był członkiem wielu liczących się w życiu kraju instytucji. M. in. był członkiem rady Ministerstwa Skarbu, w 1923 i - prezesem centralnego Towarzystwa Rolniczego, piastował funkcje prezesa Związku Izb i Organizacji Rolniczych Rzeczypospolitej, założył i prezesował Zrzeszeniu Właścicieli Lasów R.P. wreszcie - wchodził w skład Rady Banku Polskiego. Tym bardziej więc gorzkie i krytyczne słowa i uwagi, przewijające się w jego relacji pod adresem rządu i podległych mu instytucji, wydają się być podyktowane obiektywizmem, nie zaś - zacietrzewieniem, rozgoryczaniem czy nawet wrogością.

Wypada jeszcze napisać kilka słów na temat samego Krasnobrodu i Podzamku. Miejscowość położona wśród lasów, na południowy zachód od Zamościa, w pobliżu szlaków kolejowych i dróg wiodących ze stolicy w kierunku Lwowa, posiadająca światło elektryczne oraz telefon, nadawała się doskonale na dobrze zakamuflowaną przed wrogiem, wojenną siedzibę głowy państwa. Wreszcie - piękny barokowy pałac, wzniesiony w XVII wieku przez Leszczyńskich, ukryty w starym, malowniczym parku, mógł dać godne pomieszczenie prezydentowi Rzeczypospolitej.

Ale przejdźmy do relacji Kazimierza Fudakowskiego. Jej część dotyczącą pobytu prezydenta Mościckiego w Krasnobrodzie przytaczam prawie bez skrótów, m. in. także ze względu na czysto pisarską wartość tego wspomnienia:

W kwietniu 1939 r. spotkałem w Zamościu wojewodę lubelskiego, Jerzego de Tramecourt, który w poufnej rozmowie uprzedził mnie, że w sferach rządowych rozważany jest wybór miejsca dla siedziby głowy państwa na wypadek wojny. Dla tego celu upatrzone już powiat zamojski, a w nim brano pod uwagę dwie miejscowości: Klemensów i Krasnobród. Decyzja miała zapaść w najbliższym czasie, a w razie wyboru Krasnobrodu byłbym zawczasu poinformowany. W związku z tym uprzedzał, żebyśmy nie zapraszali gości na lato.

W miesiąc potem spotkaliśmy się w Klemensowie na pogrzebie ordynata Maurycego hr. Zamoyskiego i wówczas wojewoda oficjalnie już oznajmił mi, że wybrano Krasnobród, co oczywiście ma stanowić najściślejszą tajemnicę państwową, o której mogą wiedzieć najwyżej moja żona i mój zastępca w administracji majątkiem.

Po przyjęciu tej wiadomości oczekiwaliśmy dalszych zarządzeń, boć przecie jasne było, że urządzenie siedziby głowy państwa na czas wojny będzie wymagało przystosowania jej do potrzeb państwowych. Poza tym nie wiedzieliśmy, czy mamy dom opuścić w zupełności, czy też przewidywane było jakieś kondominium. Oczekiwanie nasze było tym bardziej uzasadnione, że z całą pewnością przewidywałem wybuch wojny. (...)

W takim stanie minął czerwiec i lipiec. Nikt jednak z przedstawicieli władz nie zjawiał się w Krasnobrodzie. Zdawało się przeto, że sprawa przestała być aktualna. Tymczasem w pierwszych dniach sierpnia przed dom nasz zajechał samochód z czterema znanymi mi oficerami. Byli to członkowie kancelarii wojskowej p. prezydenta. Oznajmili, że powracają z wycieczki po Małopolsce i że jadą przez Klemensów i Lublin do Warszawy. O planach dotyczących Krasnobrodu nic nawet nie napomknęli, ja zaś, związany tajemnicą, rozmowy na ten temat nie wszczynałem.

Napięcie wojenne rosło i wzmagало nerwowość. Zdecydowałem się tedy wyruszyć do Warszawy i na Zamku sprawę osobiście wyjaśnić. Na zapytanie, czy projekt Krasnobrodu upadł, szef kancelarii wojskowej, gen. Schally, odrzekł, że utrzymany jest w całej pełni, i że są już przygotowane odpowiednim tajne rozkazy. Zwróciłem mu wówczas uwagę, że poza urzędnikiem ze starostwa nikt z nami na ten temat nie rozmawiał, obawiam się więc, że tajne rozkazy mogą zawierać błędy i nie uwzględniają istniejących warunków. Dla przekonania się zaproponowałem, żebyśmy je razem przejrzyli i ocenili krytycznie.

Okazało się, że miałem rację. Zarządzenia były nierealne, brały pod uwagę mieszkania i budynki nieistniejące, i nie uwzględniały ochrony wojskowej przed ostrzałem i nalotami. Prosiłem więc o niezwłoczne przysłanie kogoś, ktoby wespół z nami na miejscu ułożył nowy plan i natychmiast przystąpił do przysposobień technicznych, wybiła bowiem ostatnia godzina.

Było to 20 sierpnia. Jakoż 21-go wyjechało do Krasnobrodu kilka osób spośród personelu zamkowego, a za nimi parę dni później zjawili się mechanicy i elektromonterzy.

Pod sam koniec sierpnia, wezwany na nadzwyczajną sesję senatu, wyjechałem do Warszawy. Sesja trwała trzy dni, już pod nalotami niemieckimi, 3 września wróciłem do Krasnobrodu. (...)

4 września po południu zajechał przed nasz dom samochód osobowy z kuframi. Na zapytanie, skąd i dokąd jedzie i czego sobie życzy, szofer oznajmił, że przywiózł rzeczy zamkowe z Warszawy, i że p. prezydent z całym orszakiem podąży za nim. Nikt jednak nas o tym nie uprzedził. Starosta, zapytany telefonicznie, oświadczył, że o przyjeździe do powiatu głowy państwa nic nie wie, że co prawda zapowiedziany jest przyjazd do Zamościa jakiegoś pociągu z Warszawy, ale nic nie jest mu wiadome.. co i kogo ma przywieźć. Umówiliśmy się, że zawiadomi mnie, gdy czegoś się dowie.

Mijały godziny, lecz wiadomość nie nadchodziła. O 19-ej wieczór jeszcze raz telefonowałem do starosty, lecz ten w dalszym ciągu nic nie wiedział. Wobec tego informacje szofera uznaliśmy za błędne, boć w głowie zmieścić się nie chciało, by o przyjeździe prezydenta starosta mógł nie być powiadomiony. Dom nasz był oświetlany żywym prądem pochodzącym z tartaku i z młyna. Motory zwykle stawały o 11-ej wieczór i z tą chwilą światło gasło. O godz. 11-ej cały nasz dom ułożył się do snu.

O 12-ej zbudził nas warkot motorów samochodowych. Zajechała kancelaria wojskowa i straż zamkowa z gen. Schally na czele, z kapelanem ks. Humpolą, major-domem Michalskim, paru służącymi i kuframi. P. prezydent miał przyjechać za nimi w 1,5 godz. później.

Dom tonął w ciemnościach, służba cała spała. Wszczął się zgiełk, improwizowanie noclegów, roznoszenie kufrów. Lecz nikt z domowników głowy nie stracił, przeciwnie, wszyscy prześcigali się w dobrej woli, tak że po godzinie motory były z powrotem w ruchu, dom oświetlony, a kuchnia gotowa do przyjęcia gości.

O godz. 1-ej w nocy, wśród powszechnego zamieszania, usłyszałem dobijanie się do drzwi wejściowych. Sam je otworzyłem. Z ciemności wychyliła się postać szefa kancelarii cywilnej, min. Łepkowskiego, który zapytywał, gdzie ma się ulokować z rodziną i dwoma samochodami, na których wiozł swój dobytek. O losy głowy państwa wcale się nie troszczył.

Odpowiedź moja była cierpka. Jako gospodarz domu spełniałem teraz obowiązki szefa kancelarii cywilnej, a tego (Łepkowskiego - M.D.) w danej chwili nic nie obchodziło poza osobistymi sprawami. Pozostawiłem go własnemu losowi.

O godz. 1 min. 30 w nocy zjechali p. prezydent z rodziną.

Nazajutrz zaczęło się prowizoryczne rozmieszczanie przybyłych osób jako osobistych naszych gości. Członkowie kancelarii wojskowej nie hamowali swego oburzenia na zachowanie się urzędników kancelarii cywilnej, którzy myśleli o sobie zapominając o głowie państwa. Oni to wywieźli cały pociąg służby zamkowej, Belwederu, Łazienek, z rodzinami wszystkich woźnych, dozorców, ogrodników, praczek itd., w ogólnej liczbie około 800 osób i

rozmieszczali w okolicznych gminach, a zmobilizowali ten tabor na własną rękę, bez wiedzy władz wojskowych.

W niepewności, w jakiej pozostawaliśmy co do przebiegu działań wojennych, oczekiwaliśmy oświetleń od otoczenia głowy państwa. Wkrótce jednak przekonaliśmy się, że zarówno p. prezydent, jak i całe jego otoczenie wojskowe nic nie wie, ponieważ nie ma połączenia z rządem i dowództwem naczelnym. Skwapliwie słuchaliśmy naszego radia i wiadomości nadawanych z Warszawy, a prezydent przysiadł się do nas i razem z nami dowiadywał się o tym, co się działo w kraju. Tak upłynął nam dzień pierwszy.

Następnego dnia zaczęły się niemieckie naloty. W obawie przed bombardowaniem wyprowadziliśmy prezydenta z żoną do parku, gdzie z braku schronień i obrony przeciwlotniczej dwa razy ukrywaliśmy ich w klombach świerkowych. Było to nieco naiwne, ale innego wyjścia nie mieliśmy.

Po trzech dniach takiego pobytu wśród zgiełku i chaosu organizacyjnego, „Zamek” opuścił Krasnobród, a mówiąc ściślej - naszą siedzibę Podzamek, wezwany przez rząd, który nareszcie zdołał nawiązać łączność telefoniczną. Wyjechali wszyscy 7 września do Olyki, a stamtąd do Rumunii. Już wszyscy siedzieli w samochodach, gdy jeden z adiutantów przypomniał sobie, że w pokoju gościnnym pozostawiono wywiezione z Zamku berło Stanisława Augusta i zwinięty obraz. Na poczekaniu zdecydowano zostawić te przedmioty pod naszą opieką, w chwilę jednak potem adiutant wyskoczył z samochodu, i zabrał je ze sobą...

Odtąd zaczęły się dni pełne niepokoju. Ogarnęła nas nieprzerwana fala uciekinierów. Coraz częściej milkło radio warszawskie, jedyne źródło informacji, natomiast otaczający nas huk strzałów armatnich zwiastował, że jesteśmy okrążeni. Jakoż po paru dniach zaczęły nadciągać oddziały wojska cofające się na południowy wschód ku Tomaszowowi. Dowiedzieliśmy się, że dwie nasze armie są okrążone przez Niemców, i że my stanowimy centrum kotła.

17 września nadciągnął sztab jednej z naszych armii. Kazano nam opróżnić dom. Zajmą go saperzy, a skoro świt zacznie się bój.(...) Ze świtem, istotnie, rozpoczął się bój, a wieczorem dom nasz na Podzamku i cały folwark zajęło dowództwo i sztab dywizji niemieckiej. (...) Po dwóch tygodniach nieustających bojów sztab niemiecki, zaskoczony przez jeden z naszych cofających się oddziałów, uciekł w popłochu, tracąc pod wsią Jacnia kilku oficerów, a już w pierwszych dniach października nadeszły wojska sowieckie, też zajmując nasz dom osnuty siecią kabli polskich i niemieckich. (...)

Od 17 września otoczone armie polskie „Lublin” i „Kraków” usiłowały przebić się przez pierścień wojsk niemieckich w drodze na Lwów. Tutaj właśnie 23 września poszła szarżą na Krasnobród Nowogródzka Brygada Kawalerii. Ruszył całym pędem 25 pułk ułanów ppłka Bohdana Stachlewskiego, wspierany przez 9 dywizjon artylerii konnej pod dowództwem

płk. Tadeusza Rohozińskiego. Padł w szarży dowódca i szwadronu 25 pułku porucznik Tadeusz Gerlecki. Rozbito sztab 8 dywizji piechoty niemieckiej, wzięto stu jeńców. Uwolniono uwięzionych w krasnobrodzkim kościele polskich żołnierzy...

W powstałą lukę wszedł natychmiast dowodzący grupą operacyjną kawalerii generał Władysław Anders, w swej drodze na południe. Zaraz potem pierścień niemiecki zamknął się. Rozpoczął się ostatni akt tragedii zgrupowanych w tym rejonie polskich wojsk.

7 września prezydent Ignacy Mościcki wyjeżdżał z Krasnobrodu, rozpoczynając drugi etap swojej wojennej podróży - w kierunku Łucka. Wiózł ze sobą zabrane z Zamku warszawskiego berło zmarłego na obczyźnie ostatniego polskiego króla, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Gdzieś pod Czemiernikami, w innym miejscu Lubelszczyzny, spoczywa - jak mówi legenda - złożona na przechowanie przez Naczelnego Wodza, Edwarda Śmigłego-Rydza, jego buława marszałkowska...

Również 1 września w położonym tuż pod Lublinem majątku Osmolice - należącym do rodziców jego zięcia, Leśniakowskich - pojawił się generał Władysław Sikorski, przybył tutaj z Warszawy: w Osmolicach znajdowały się jego żona i córka. Generałowi Sikorskiemu towarzyszyli: pułkownik Kazimierz Stefczyk, Pułkownik Modelski, major Malinowski, Wiesław Dembowski, Świętochowski oraz Adam Kułakowski, sekretarz generała. W dwa dni później Władysław Sikorski wyjechał samochodem, razem z Kułakowskim i pułkownikiem Stefczykiem, do Lwowa.

Jechał z myślą o odnalezieniu Naczelnego Wodza, aby kolejny raz prosić go o przydział do którejś z walczących armii. Jechał tam również po to, aby ze swymi zwolennikami naradzić się, co dalej teraz czynić wypada. Ale przede wszystkim - chciał walczyć z Niemcami. Nie wiedział, że ta jego podróż rozpoczyna nowy, wielki rozdział w historii Polski...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Pierwodruk: „Kamena”, 1985, nr 1, s. 4-5.